

mewy

Stanisław Goszczurny
Mewia trylogia

tom I *Mewy*

tom II *Skrawek nieba*

tom III *Jolka, córka mewy*



MARPRESS
WYDAWNICTWO

GDAŃSK 2021



mewy STANISŁAW
GOSZCZURNY

Projekt graficzny: Daria K. Kompf
Skład i łamanie: Daria K. Kompf
Redakcja i korekta: Urszula Obara
Redaktor naczelny: Fabian Cieślik

Copyright by © Stanisław Goszczurny
Copyright by © Wydawnictwo Marpress

Wydanie VII poprawione

ISBN:
epub 978-83-7528-223-8
mobi 978-83-7528-226-9
pdf 978-83-7528-220-7



Wydawnictwo Marpress sp. z o.o.
ul. Targ Rybny 10B
80-838 Gdańsk
tel. 58 301 47 00
redakcja@marpress.pl
www.marpress.pl

od autora

Przedmowa do wydania trzeciego „Mew” (1971)

Kiedy przed kilkunastu laty książka ta ukazała się na półkach księgarskich, nie miała wstępu, autorowi bowiem wszystko w niej wydawało się jasne i niedwuznaczne.

Ale książka, jak wiadomo, prowadzi żywot samodzielny, jak dziecko wypuszczone spod opieki rodziców, potrafi wędrować własnymi drogami, zdobywać sobie przyjaciół lub wrogów. Tak też stało się i z *Mewami*. Wprawdzie żywot ich w księgarni był krótki, zniknęły natychmiast po wydaniu, ale za to później zaczęło się.

Były opinie, recenzje, uwagi, były liczne głosy podczas spotkań autora z Czytelnikami, prośby o wyjaśnienie wielu pytań nasuwających się po lekturze. Narosła wokół książki legenda o śliskim temacie w niej poruszonym, wielu się gorszyło, inni wzruszali ramionami rozczarowani, że niby mniej w niej rzeczy „brzydkich” czy poszukiwanych przez zwolenników erotyki, niż można by sobie obiecywać po temacie.

A więc okazało się, że mimo wszystko potrzebnych jest kilka słów wstępu, parę wyjaśnień, odpowiedzi Czytelnikowi na pytania, które zadaje sobie i autorowi.

Toteż w niniejszym, trzecim, nieco poprawionym, ale w swej zasadniczej treści nie różniącym się od poprzedniego, wydaniu, spróbujmy przez chwilę sobie pogawędzić o tej książce; zanim Czytelnik weźmie ją do ręki.

Przede wszystkim: dlaczego?

To pytanie padało i nadal najczęściej pada pod adresem autora. Dlaczego pan to napisał? Czy nie ma innych tematów współczesnych? Czyż koniecznie trzeba

się grzebać w brudach naszego życia? I czy naprawdę jest u nas taki świat, jaki pan ukazuje w *Mewach*?

Drogi Czytelniku! Nie chowajmy głowy w piasek. Istnieje u nas takie zjawisko jak prostytutka. Dlaczego mamy o tym mówić z przymrużeniem oka, dlaczego wymieniać znaczące uśmiešky albo zniżać głos? Jest zjawisko, trudno je pominąć milczeniem. To prawda, że jest to ciemna, nie zasługująca na gloryfikację strona życia. Ale skoro problem istnieje, to bez wątpienia zasługuje na to, aby mu się przyjrzeć. Można to zrobić w rozprawie socjologicznej, w analizie społecznej, ale można też w bardziej czy mniej udanej formie literackiej.

No dobrze — odpowie Czytelnik. Można, ale po co? Dlaczego opisywać tę ciemną stronę naszego życia, wywlekać ją na wierzch, dawać do rąk społeczeństwa książkę, która przecież jest czytana także przez młodzież, a zawiera rzeczy niezbyt budujące.

Po pierwsze, to nie jest książka dla dorastającej młodzieży, a młodzież starsza wie o życiu więcej niż nam, dorosłym, się wydaje.

A po drugie, ukazanie zła, dna życia, brudów czy jak to nazwiemy, ma swoje uzasadnienie, może być pożyteczne. Bo przecież nie tylko trzeba szukać wzorów, jak należy postępować, ale można także szukać przykładów, jak nie należy postępować.

Jest wiele przyczyn powodujących powstawanie prostytutki. Takie przyczyny jak zawiedziona miłość, nieślubne dzieci, potępienie z ambony odgrywają co prawda coraz mniejszą rolę, ale pozostają jeszcze inne, których niełatwo się pozbyć z życia społecznego.

Mewy miały ukazać jedną z takich przyczyn. To alkoholizm, zezwierżenie ojca, bezwolność matki, ślepe jej

przywiązanie do tradycji, ciasne poglądy na małżeństwo i przyszłość córki. Reszta – to już niejako automatyczna linia: ucieczka z domu, złe towarzystwo, wejście do środowiska przestępczego czy półprzestępczego i powodzenie w portowej knajpie, które uderza do głowy, wciąga, daje pozorną radość życia, wyzwolenie od tego, co było, pieniądze, zabawę...

Ale ukazanie tej przyczyny wypaczania się drogi życiowej młodej dziewczyny – to jedna sprawa. Druga – to jej dalsze losy.

Czy dziewczyna, która raz weszła na tę drogę, która zasmakowała „łatwego” życia, ma szansę, aby zawrócić, znów stać się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa? To problem trudniejszy niż ukazanie, jak szła w dół. Dźwiganie się w górę jest bez porównania trudniejsze, niektórzy nawet wątpią, czy w ogóle się zdarza.

A jednak się zdarza. Są w archiwach milicji przykłady, że kobiety, które niegdyś sprawiały kłopoty „obyczajówce”, znalazły swe miejsce w życiu, stały się dobrymi żonami, matkami.

Takim motorem, który może kobietę pchnąć na powrót do normalnego życia, jest na przykład miłość. Miłość, ta potężna siła, zdolna jest zdziałać wiele dobrego i złego. Jeżeli znajdzie się człowiek, który pokocha taką kobietę, nie wypomina jej przeszłości, okaże zaufanie, to jest szansa, że zyska w niej dobrą towarzyszkę życia.

Takim motorem może być także ambicja. To uczucie wywołane jakimś przykładem, chęcią nawet zaimponowania, także może pchać kobietę z powrotem ku górze, do normalnego życia.

A więc niewydumane są przykłady zawarte na kartkach tej książki, jak to niektórzy usiłowali udowodnić gołosłownie. Ta książka to właściwie nie powieść,

lecz reportaż. Bowiem wszystkie opowieści w niej zawarte są prawdziwe, choć z różnych pochodzą miejsc i różnych dotyczą osób, a łączy je tylko osoba Zośki — głównej bohaterki.

Pozwól, Czytelniku, że w tym miejscu zwierzę Ci się z pewnej swojej małej tajemnicy.

Przed kilku laty, kiedy zajmowałem się sprawami przestępczości wśród nieletnich, zachęcony przez milicję dotarłem do Izby Zatrzymań dla Nieletnich w Gdańsku, która zresztą istnieje do dziś, choć ma nieco inną nazwę. Tam przebywała wówczas dziewczyna, która po długich naleganiach, zapewnieniu jej całkowitej dyskrecji opowiedziała swoje losy i zgodziła się, aby je utrwalić na taśmie magnetofonowej.

Tragiczna i wstrząsająca to była opowieść. Ta dziewczyna miała swoje piękne marzenia, takie jak jej rówieśnice. Interesował ją świat, chciała być nauczycielką, a mimo to już kilkakrotnie doprowadzano ją do tego smutnego miejsca, bo systematycznie uciekała z domu, wałęsała się po mieście, przebywała w towarzystwie „cinkciarzy”, prostytutek, kradła już nawet, sama zaczynała uprawiać nierząd, a nawet miała za sobą pewne choroby. Dlaczego to robiła? Bo miała ojca nałogowego alkoholika, który maltretował matkę — kobietę o słabej woli, niezdolną rozwiązać ten koszmarny związek małżeński. Bo ten ojciec zmuszał ją do libacji ze swymi kolegami, podczas których oferował ją, swoją córkę, tym kolegom za litr wódki. Bo kiedy matka nie chciała iść po alkohol, to w obecności córki rzucał w nią nożem. A kiedy wzywano milicję, by uspokoiła pijaka, matka, wstydząc się ludzi i wierna swym małżeńskim zasadom, chroniła go, twierdziła, że nic złego się nie dzieje, po prostu się upił...

Oto macie Zośkę z kartek tej książki.

Dalsze jej dzieje — to już inne przykłady nie z tej samej taśmy, ale z tego samego życia.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa, o którą Czytelnicy bardzo często pytają. „Dlaczego pan używa brzydkich słów w tej książce? Cemu pan opisuje drastyczne sytuacje, bójkę itp.?”.

No cóż, Zośka znalazła się w światku, który jest bardzo egzotyczny, a także bardzo specyficzny. Zanikający to u nas światek, coraz mniej jego reprezentantów, ale jednak są, a jeszcze przed kilku laty byli dość liczni. I to wcale nie tylko na Wybrzeżu, lecz również w Warszawie, Wrocławiu i innych miastach.

Skoro więc opisuję ten światek, wulgarny, pełny ciemnych typów, to jakże mogę używać wytwornego, salonowego języka? Kto uwierzy w prawdziwość następującego opisu: „W knajpie, zadymionej, pełnej pijanych typów, chwiejący się na nogach jegomość poczuł nienawiść do drugiego takiego samego typu. Podchodzi więc do niego i kłaniając się mówi: – Szanowny pan pozwoli, że przyłożę mu rękę do policzka?”.

Przecież ten typ zrywa się z krzesła, woła: „Ty skur..., bo ci dam w mordę!” — i realizuje swój zamiar, rozbijając po drodze krzesła, prawda?

Pozwólmy więc postaciom z *Mew* żyć swoim życiem, życiem półświatka, a niech wstydzi się ten, kto przy czytaniu ma brzydkie myśli.

Stanisław Goszczurny

część pierwsza

rozdział I

W letnie popołudnia stary miał zwyczaj siadać na niskim progu i patrzeć na zakurzoną, niezbyt ruchliwą ulicę.

– Czego tak sterczysz jak kamień? – burczała żona.

– Zostaw mnie, jestem zmęczony – odpowiadał i znów zapadał ni to w sen, ni to w zadumę. Czasem siedział tak do późnego wieczora, potem ociężale dźwigał się i szedł na kolację.

Sąsiadów z początku to dziwiło. Zagadywali do niego, próbowali nawiązać rozmowę, przeważnie jednak bezskutecznie. Odpowiadał niechętnie i raczej unikał ludzi. W końcu wszyscy przyzwyczaili się do tego. Stał się nieodłącznym elementem ulicy; nie zwracano na niego uwagi, tak jak nie dostrzegano stojącego przed domem starego, przekrzywionego kamienia, który kiedyś był pomalowany wapnem.

W niektóre popołudnia próg przed mieszkaniem Zadorów był pusty. Ale wiadomo było, że stary w końcu przyjdzie. Zatoczy się, potknie o kamień i zwali na swoje miejsce. Pomamrocze coś pod nosem, zamachnie się na natrętne dzieciaki, rzuci przekleństwo i zaśnie zaśliniony, niechlujny.

W lecie mieszkanie Zadorów było odgródzone od ulicy kawałkiem kretonu zawieszonym na otwartych drzwiach, gdyż w środku panował upał i zaduch. Kiedyś był to skromny sklepik, zaopatrujący całe przedmieście w mydło, sól, zbożową kawę i inne „artykuły kolonialne”. Dziś zostały tylko na pół zatarci napisy po obu stronach drzwi: „kakao, kawa, nabiał”... Właściciel wyniósł się z miasteczka,

a dawny sklep Zadorowie zamienili na mieszkanie. Za ladą mieściła się kuchnia, reszta zaś obszernego pomieszczenia zastępowała jadalnię i sypialnię.

Ciekawskie dzieci i wścibscy sąsiedzi mieli sporo uciechy, gdy Zadorowa wciągała męża ze schodów do domu. Czasem był bezwładny jak wór mąki, niekiedy próbował się opierać, ale na ogół nie miał sił, żeby protestować energiczniej. Kłął więc tylko pod nosem i przelewał się przez ręce.

Zośka czasem pomagała matce w tej czynności. Częściej jednak odsuwała się jak najdalej albo wychodziła z domu. Nigdy nie mogła się przyzwyczaić do widoku pijanego ojca. Brzydziła się nim i zarazem bała. Ilekroć musiała go dotknąć, zbierało jej się na wymioty.

Miała szesnaście lat, zgrabne nogi, a głowę pełną marzeń i mrzonek. Gdyby ją ktoś zapytał, dlaczego przestała się uczyć po siedmiu klasach szkoły podstawowej, sama prawdopodobnie nie potrafiłaby dać odpowiedzi. Wzruszyłaby ramionami i oświadczyła z uśmiechem: „Tak mi się jakoś złożyło”...

Nie miała dużych trudności w nauce. Była raczej leniwa, ale nie bardziej niż tysiące innych dziewcząt w jej wieku. Wolała kino czy wygrzewanie się nad brzegiem rzeki w lecie, a sanki zimą niż ślęczenie nad nudnymi książkami, lecz niektóre przedmioty niezwykle ją interesowały.

Bardzo chętnie uczyła się geografii. Nazwy egzotycznych miast, lądów czy państw same wbijały się jej w pamięć. Bujna wyobraźnia podsuwała obrazy skąpanych w słońcu plaż, wysokich palm, bezszelestnie sunących samochodów, wyfraczonych panów z pokrytymi szronem siwizny skrońmi, zapraszających ją do najelegantszych lokali.

Lubiła też historię. Ale tu znów widziała cudowne kreacje dworskich dam, tańczyła menuety, jeździła karetami, kochali ją książęta i szlachetni rycerze.

A tymczasem w życiu samochody przejeżdżały przed ich domkiem na przedmieściu i pozostawał po nich tylko kurz, który wdzierał się przez nieszczelną zasłonę do mieszkania. Z marzeń budził ją przykry głos matki, wiecznie narzekającej, zapracowanej, chorowitej, dźwigającej na swych barkach wór domowych trosk, zawsze wzdychającej do lepszych czasów.

Zadorowa nie była jeszcze starą kobietą i kiedyś musiała być nawet niebrzydka. Świadczyła o tym ślubna fotografia wisząca nad łóżkiem. Pochylona ku niej głowa młodego mężczyzny z zabójczym hiszpańskim wąsikiem i lekko zamglonym „od kochania” wzrokiem należała do ojca Zośki, zdolnego niegdyś majstra murarskiego. Dawne to były czasy. Mieli przed sobą życie, piękne perspektywy – rzemieślnik zawsze ma chleb w rękach. Okazało się jednak, że w życiu bardzo trudno czasem zrealizować najprostsze marzenie, gdy w rękach rzemieślnika za często pojawia się kieliszek. Majster nie zawsze miał robotę, czasem wyjeżdżał na całe miesiące, żeby zarobić na utrzymanie domu. Zimą trzeba było żyć z tego, co zarobiło się latem, w sezonie. Ale w długie zimowe wieczory dla zabicia wlokącego się czasu bezrobotny rzemieślnik szukał rozrywki wśród kolegów, pił, grał w karty i wynajdywał tysiące okazji, żeby wyciągnąć od żony zarobiony w lecie grosz.

Potem przyszedł na świat syn. Dziecko przysporzyło kłopotów, walka o życie zrobiła się jeszcze cięższa. I tak po kolei trzeba było rezygnować z pięknych przedmażeńskich marzeń: własny domek odsunął się w sferę nieosiągalnych mrzonek, potem nawet posiadanie własnego mieszkania przekroczyło ich możliwości.

Wojna też zostawiła w nich trwałe ślady. Gdy ciągnęli szosą z tłumem uciekinierów, nadleciały samoloty i wtedy w przydrożnym rowie pozostał na zawsze ich sześćioletni synek. Potem okrutne lata przytępiły żal i matka myślała czasem nawet, czy nie lepiej, że jej małe dziecko nie musi się tak potwornie męczyć.

Zadora zajął się nielegalnym handlem. Jeździł po wsiach, skupował mięso i przywoził do miasta. Ten proceder, choć pozwolił im jakoś przetrwać, a nawet dawał niekiedy niezły zysk, dostarczał jednak handlarzowi wiecznych okazji do picia. Żona cierpiała z tego powodu, ale nie mogła nic mówić, bo w odpowiedzi słyszała, że tego wymagają interesy, a zresztą życie jest i tak niepewne, więc czemu sobie żałować.

Tak w codziennych troskach i zmarnowanym życiu utonęły marzenia, miłość do męża, ambicje; pozostała samotność i gorycz. Po dwudziestu trzech latach małżeństwa ładna dziewczyna zmieniła się w zgorzkniałą kobietę. Ożywiły ją narodziny Zośki. Czasy były bardzo ciężkie, lecz Zadorowa cieszyła się dzieckiem, w którym widziała jedyną bliską sobie istotę. Dziewczynka zajęła teraz w jej sercu miejsce opuszczone przez męża i syna.

Zadorowa kochała Zośkę prymitywną, egoistyczną miłością matki, która wierzy, że tylko ona może zapewnić dziecku szczęście. Tak jak kiedyś planowała swoje życie, tak teraz snuła marzenia na temat przyszłości córki, jej szczęścia. A wierzyła głęboko, że dziewczynie nie potrzeba do tego dyplomów ani uniwersytetów. Wystarczy bogaty, kochający, uległy mąż, który spełni wszystkie życzenia i zachcianki.

Wbijając Zośce w głowę, że dziewczyna musi być ładnie ubrana, umieć się należycie zachować, znać się na gospodarstwie, bo choćby miała dziesięć służących,

od niej będzie zależał cały dom. Wtedy dopiero będzie się podobała mężczyznom. Często też zwracała jej uwagę, że nie powinna się zadawać z byle kim, bo to do niczego nie prowadzi, a ona jest przeznaczona dla kogoś lepszego.

Mając takie poglądy na przyszłość córki, nie przejmowała się nadmiernie, kiedy na wywiadówkach słyszała, że Zośka leniuchuje. A gdy dziewczyna po siedmiu klasach oświadczyła, że nie będzie się dalej uczyła, matka nie protestowała. Początkowo postanowiły, że dziewczyna pójdzie na jakiś kurs gospodarstwa domowego, bo „to zawsze się jej przyda”, ale w końcu zaniechały nawet tego. Matka patrzyła na smukłą, zgrabną postać córki i teraz już otwarcie wpajała jej przekonanie, że jest przeznaczona dla „kogoś lepszego” i celem jej życia powinno być zrobienie „dobrej partii”. I tak czekała na męża dla Zośki, a dziewczyna obijała się, marnowała czas.

Po wojnie murarze byli potrzebni, toteż w domu nie mieli biedy. Matka musiała tylko pilnować wypłat, by majster nie utopił pieniędzy w kieliszku. Chodziła więc w te dni do niego na budowę i tak się z tym oswoiła, że w końcu uważała to za rzecz normalną.

Przyzwyczała się też przez tyle lat do jego pijaństwa. Wiedziała, jak z nim postępować, kiedy jest zupełnie nieprzytomny, a co robić, gdy wpadając we wściekłość, żąda pieniędzy na wódkę. Nie kochała go, czasem nawet brzydziła się nim i przeklinała chwilę, w której zdecydowała się wyjść za niego. W gruncie rzeczy jednak przywykła do swego życia i nawet jej przez myśl nie przeszło, żeby wyzwolić się od pijaka. Była już za stara, żeby na nowo zaczynać życie, a zresztą w sferze jej pojęć nie mieścił się rozwód, separacja czy inna forma wyzwolenia. Była fanatycznie religijna i uważała, że to co raz zostało złączone, nie może być na ziemi rozłączone. Zabierała więc

mężowi pieniądze, w zamian dając mu utrzymanie i tylko nigdy nie mogła pogodzić się z tym, że robi jej wstyd przed ludźmi. Przed sąsiadami, znajomymi zawsze pragnęła uchodzić za dobrą matkę, żonę i chciała, żeby nie widzieli „hańby”. Bała się zresztą, że pijaństwo ojca może zaszkodzić opinii jej córki i zrazić ewentualnego zięcia.

A stary majster Zadora utonął w swoim kieliszku. Pracował, bo nie mógł przestać pracować, nie mógł stracić rozpędu, jak kamień strącony z góry. To był u niego odruch warunkowy, bez którego nie mógł żyć. Pewno kiedyś, przed laty, i on miał swoje ambicje i marzenia, szczerze obiecywał młodej żonie, że dorobią się domku i będą żyć w dobrobycie. Teraz, po latach niczego już nie obiecywał. Początkowo drażnił go dokuczliwy głos żony, która bez przerwy oskarżała go o złamane życie i zawiedzione nadzieje. Potem otepiał, nie słyszał nawet, kiedy zrządziła. Kiedyś, kiedy jeszcze pił mniej, próbował zabierać głos na temat domu czy Zośki. Ale tu żona była nieustępliwa. Tylko jej zdanie było ważne, tylko ona miała rację, tylko jej plany wchodziły w rachubę. Zrezygnował więc z prawa głosu, ale czasem, gdy słuchał gadaniny o małżeństwie córki, mruczał:

– Niech się jakiegoś fachu nauczy albo idzie do roboty. Baba jak piec, a nic nie robi, tylko żre i czeka na królewicza...

Przy okazji spuszczał córce lanie, bo tę formę wychowania uważał za niezawodną. Matka podczas bicia broniła córki dość słabo, ale do spraw matrymonialnych nie pozwalała się ojcu wtrącać.

W końcu pijaństwo ojca doszło już do takiego stadium, że nic dla niego nie istniało, nic go nie obchodziło. Zrobił się wulgarny i brutalny. Czasem w napadzie pijackiego szału bił żonę, żądając pieniędzy. Nierzadko też obrywała Zośka, przeważnie niewinnie, co budziło w niej odruchy

buntu i nienawiści do ojca. W alkoholowym zamroczeniu pijak nie wiedział, co robi. Był bliski delirium.

W tej sytuacji Zośka prowadziła dziwne życie. Niby mieszkała w domu – tu przecież jadła, spała – nic jednak ją z domem nie wiązało. Było jej dość wygodnie lawirować między matką a ojcem, ale raziło ją chamstwo ojca, nienawidziła go za bicie, wstyd, jaki jej przynosił, za to wreszcie, że nie był kimś innym, bogatym, „lepszym”. Ale i matka, ze swoimi lamentami, wiecznymi planami matrymonialnymi, religijną uległością wobec pijaka, także raziła dziewczynę, która chciała być z „lepszej rodziny”. Coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że nie cierpi domu, a rodziców się wstydzi.

Mimo to było jej w domu dość wygodnie. Nie znała spokoju, ciepła rodzinnego, ale miała co jeść i w co się ubrać, a przy tym nie musiała pracować. Ojca nienawidziła, matką pogardzała i już od młodości zaprawiała się w zakłamaniu, nieufności, starała się chodzić własnymi drogami. Miewała sympatie i znajomości, ale wszystkie trwały krótko. Marzyła o tym, żeby znalazł się ktoś, kto by ją wyrwał z dotychczasowego życia, wsadził do samochodu i powiózł daleko od zakurzonego przedmieścia, pijanego ojca i kłótlivej matki. Królewicz się nie zjawił, a znajomi chłopcy proponowali nieprzyzwoite rzeczy.

Ale gdy wychodziła do miasta, starała się kręcić biodrami, bo uważała, że wytworne kobiety tak właśnie powinny robić, a w każdym razie wiedziała, że to się podoba mężczyznom. Powiedział jej zresztą o tym Maciek, z którym przyjaźniła się najdłużej. Zdawało jej się nawet, że właśnie on jest tym, który zabierze ją do pięknej willi. Maciek odbywał praktykę w szpitalu miejskim. Pacjentki już teraz zwracały się do niego per „panie doktorze”.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

